

Złoty Helikon w Krakowie

Złoty Helikon — po raz pierwszy w tym roku przyznana nagroda dla najlepszego muzyka jazzowego Polski — otrzymał, jak wiadomo, Krzysztof Komeda. Laureata, mocno już zmęczonego parodiowym maratonem muzycznym, łapiemy na ostatnim jam-session w Krzysztoforach.

— Gdy porównuję warszawskie Jazz Jamboree z „Zaduszkami”, wydaje mi się, że w Krakowie nieco „driętwo” wygady koncertów. Publiczność nie reagowała tak spontanicznie, jak w Warszawie, gdzie koncerty często przeciągały się w nieskończoność... Jeden z nich trwał 6 godzin! Natomiast znacznie lepszy wypady w Krakowie jam session. Jestem pełen szczerzego uznania dla tych, którzy potrafili słuchać naszych „grań” do 5,6 rano... Poza tym „Zaduszki” jazzowe były organizowane trochę ad hoc, co odbiło się na wartości artystycznej tej imprezy. Z zapowiadanych gości nie przyjechał np. do Krakowa znakomity muzyk Don Ellis (USA).

— Jest pan autorem chyba pierwszego w Polsce baletu jazzowego...

— Załowalem bardzo, że nie mogliśmy przywieźć do Krakowa „Etiud Jazzowych”, które zaprezentowaliśmy na warszawskim festiwalu. Ale prawdopodobnie w grudniu, łącznie z „Jazem i poezją” (w wykonaniu Haliny Mikołajskiej, Wojciecha Siemiona i mojego zespołu), pokazemy również w Krakowie „Etiudy”. Balet ten, do którego pisałem muzykę (nagrana na taśmie stereofoniczną), a Witold Gruca ułożył choreografię, nawiązując do tańca neoklasycystycznego. „Etiudy jazzowe” w sensie fabularnym pozbawione są libretta, a układy nadają im charakter tańca czysto abstrakcyjnego. Występują: M. Krzyszkowska, K. Mazurówna, St. Szymański, Zb. Strzałkowski i W. Gruca. Scenografia: Wowa Wielicki...

31 października zjechała do Krakowa cała gromada polskich i zagranicznych muzyków, którzy po warszawskim „Jazz-Jamboree” rozpoczęli w naszym mieście IX Tradycyjne Zaduszki Jazzowe. Uroczystości „zaduszkowe” inaugurowało otwarcie I Międzynarodowej Wystawy o Tematyce Jazzowej (w sali przy Rynek Główny 25), na którą nadesłano ponad 300 zdjęć. Jak już podawaliśmy, pierwszą nagrodę otrzymał Amerykanin Dennis Stock, a pozostałymi podzielili się: Z. Grabowiecki (Polska) i B. Arnetova (Czechosłowacja).

Poza nagrodzonymi pracami zwraca uwagę cykl interesujących zdjęć J. Alpera (USA), poświęcony murzyńskim muzykom jazzowym (m. in. zdjęcie Duke Ellingtona) oraz prace St. Chybowski i innych, których nie wymieniam, ponieważ dwa dni po otwarciu wystawy większość zdjęć nie była jeszcze podpisana.

Spośród wielu występujących na koncertach i jam-session muzyków godnie bronił barw Krakowa Andrzej Kurylewicz, który poprzedził nam co następuje:

— Jazz Jamboree, z którego przyjechalismy wprost do Krakowa, był imprezą tak oficjalną, a przez to męczącą, że siał rzeczy koncertu w naszym mieście były trochę bardziej „puszone”. Co oczywiście nie znaczy, że gorsze... Krakowskie Zaduszki Jazzowe traktuje się raczej jak Wielki Turniej Towarzystwa, niż jak oficjalny festiwal jazzowy... Ma to swoje uroki i swoje malutkie minusy. Jeśli chodzi o zastrzeżenia, uważam, że program zarówno koncertów, jak i jamów ułożony był nieciekawie. Sądząc, że powinni się tym zajmować muzycy, a nie organizatorzy...

Skoro współorganizatorem „Zaduszek” było ZSP, sadiłismy, że imprezy te są adresowane przede wszystkim dla młodzieży... Ale tak nie był Billet na jam session kosztował 30 zł. Za bigos, który można było dostać przy barze w Krzysztoforach, opłata wynosiła 12 zł (tytuł, ile u „Wierzyńka”). I to mają być wydatki, obliczone na studencką kieszeń...? Sądząc, że w przyszłości organizatorzy powinni zastanawiać się nie tylko nad tym, kto i jak będzie grał, ale przede wszystkim — dla kogo organizuje się „Zaduszki”?!
RYSZARD TAEDLING

Jan Kurczab

Zielony Dom Kultury

Są posiedzenia, które opuszcza się z uczuciem rzeskości, bez przysłowiowego znużenia, a co częściej — znużenia. W takim właśnie brałem niedawno udział. Przewodniczył mu sternik Dzielnicy Rady Narodowej Zwierzyniec, ob. Branicki. Było tam prezydium rady i sporo osobistości, których nie wymienię w obawie opuszczenia któregoś z prawdziwie cenionych nazwisk. Było to posiedzenie wzięte i rzeskie — może właśnie dzięki tematowi, zawierającemu rzeskością drzew parku Dra Jordana. Bo o nim była mowa. Dzielnicy Zwierzyniec przypada nie lada honor i nie lada zadanie. Honor — to zagospodarowanie tak zwanych płuc Krakowa, a zadanie — to pokonanie związanych z tym trudności.

Płuca Krakowa... Od lat, których już nie zliczę, miasto usiłuje ratować plachtę zieleni, ciągnąc się po prawej i lewej stronie popularnego krakowskiego deptaku. Od lat rodziły się i padały projekty, wyprzedzane przez żrące, pilniejsze w swojej naturalności od zamierzeń projektantów. Rozbudowa tzw. Cichego Kąca ka zagroziła drogę pracemu w te okolice parkowi, cyrki niemal doścześnie zdeptały imponujący trawnik Błonia. Sam park nieźle wyłysiał, nadgrzyziony poważnie przez budowlę uniwersyteckie, strątowany przez mieszkańców okolicznych domów akademickich. Nad wiałymi płucami z zieleni pozostał nie tknięty jedynie słup powietrza, zasilany powiewem z niedalekiej Woli Justowskiej i wcale odległych Paniańskich Skał.

Nie tknięty? Czy nie przesadzam? A wzmagać się z tygodnia na tydzień linia komunikacyjna miejskich autobusów, a coraz żywszy ruch samochodowy do Łasku Wolskiego, a udośćpionna szosa z Bronowie? Wyspę krakowskiej zieleni obejmują nożyce dróg; nad nimi gęstnieją opary spalin, przed którymi ani się obronić, ani im przeciwstawić. Bo jak?

Tym pilniejsza jest sprawa ochrony środowiskowej przyrody i tym radykalniejsze winny stać się zmiernające do niej środki.

Jest w aktywności DRN Zwierzyniec coś wzbudzającego zaufanie do jej pociągnięcia. Jest przede wszystkim szybkie decyzje. Może stąd to pełne zaufanie w celowości pierwszego pociągnięcia. Narodziło się zaledwie przed kilkoma tygodniami, a już przed kilku dniami stało się rzeczywistością. Mam na myśli Dom Kultury w Parku Jordana — dom, który pozwoliłem sobie nazwać w tytule Zielonym. Przeniesiono mieszczące się na terenie parku z wejściem od ulicy Reymonta przedszkole w inne pomieszczenia i przekształcono obszerny budynek w miejsce zajęć dla młodzieży od lat ośmiu do szesnastu. Sale, pracownie, warsztaty, gabinety — to pierwszy etap planu. Drugi — to teren

parku, z kilkunastoma boiskami na gry wszelkiego rodzaju, z wyjątkiem piłki nożnej. Trzeci jest etap zagospodarowania parku na wyłączny użytek młodzieży, otoczenie go blisko czterokilometrową linią kolejową — oczywiście dziecięcą — na wyasfaltowanie ścieżek, zadrzewienie łysin, na zintensyfikowanie zainteresowania młodzieży tym, niemałym śródmiejskim terenem, na którym mogłaby spędzić wszystkie swoje wolne od zajęć szkolnych i nauki godziny. Myślą przewodnią założenia Zielonego Domu Kultury jest walka z bezrzesnością młodych godzin, sprwadzającą adeptów chuligaństwa na — jak się to zwykło mówić — złe drogi.

W inicjatywie dzielnicy Zwierzyniec leży próba zestrzelenia owych dróg w jeden, świadomie i celowo zorganizowany ośrodek parku. Park, a nie dom, lub ściślej — dom przy parku, a nie park przy domu, praca i ruch, zatrudnienie i zabawa, absorbowanie myśli i rozluźnianie muskulatury — to mądre. I dotychczas jedyne, przynajmniej u nas. Przyklasnąć tej inicjatywie? Za mało. Trzeba ją wspomóc — nie tylko aprobatą. Zielony Dom Kultury winien stać się obiektem wnikliwej dbałości wszystkich, utrudzonych rozsupływaniem niemal gordyjskiego węzła, splątane go z nicy, wiążących dom, szkołę i ulicę.

Prof. inż. Solawa zobrazował na obszernym kartonie plan zagospodarowania tego, niemałego, bo liczącego 22 hektary, parku. I nie tylko parku. Są na tym planie i Błonia, wolne od cyrkowych najazdów, od pomysłów zalesienia, od wszelkich doraźnych inwestycji. Jest w zamierzeniach planu namiętne umiowanie perspektywy, nieszakowane narosiłami nieprzemysłanej architektury, jest potrzeba uratowania tego skrawka ziemi dla oczu, dla płuc i — nie bójmy się tego słowa — dla serc krakowian. Bo urok tego wyznika jest naprawdę niezwykły. I niepowtarzalny. Raz stracony — nie da się zastąpić w naszym mieście niczym innym. Raz przeoczony, nie da się doścignąć nawet najwyższym strumieniem pieniędzy.

Obok wielu prawdziwie pilnych zadań stoi przed Zarządem Miasta, a głównie przed dzielnicą Zwierzyniec to, może najpilniejsze. Tym razem — bez długich i bezowocnych dyskusji — winniśmy oddać dzielnicy Zwierzyniec do dyspozycji wszystkie środki, mogące urealnić jej zamierzenia. Pierwsze pociągnięcie kierownictwa Dzielnicy mówi o pełnym poczuciu odpowiedzialności za powierzony jej do zagospodarowania teren.

Przez pierwsze — mam na myśli Zielony Dom Kultury. A jednak się mylę. Pierwsze było upiększenie Parku Krakowskiego, reprezentują-

cego dziś, po przebudowie, prawdziwie miły oku ogród miejski. Krakowska MRN, jak można było stwierdzić z enuncjacji, jest również tego zdania. Może tym razem naprawdę dojrzają owoce wieloletniej dyskusji i — podobnie, jak staré Miasto uzyska nareszcie swój godny siebie Rynek, tak Zielona Dzielnica rozkrzewi się pełnią swoich możliwości.

Chodzi już tylko o tempo, bo czas działa przeciwko nam — szczególnie ten, stracony na gorące przy zielonym stole, ale stygnące wobec trudności, spory. Zaufajmy więc stolowi, przy którym było mało słów — a decyzja szybka.

Kineskop 62

Polacy nie gęsi

Teleturniej zmieniają się jak w kalejdoskopie. Raz o muzyce, raz o cybernetyce, kiedy indziej o ornitologii. Aż przyszła kolej na temat zasadniczy: język polski. — Wprawdzie audycje rozpoczęto od fragmentu Jastruna — ja chciałbym tu zacytować Kajkę, mazurskiego poe, który tak pięknie rzekł: „O wspaniałą polską mowę, która kwitła tu przed laty, zakwitnijże nam na nowo, jako kwiat wiosną kwiaty...”. Właśnie, zakwitnijże nam na nowo, bo strasznie zachwyszony ten językowy ogródek i nieplewiony.

Bo przez kogo ma być plewiony? Pogadanki profesora Doroszewskiego interesują raczej hobbystów. Co innego teleturniej — forma, która z natury rzeczy wciąga. Jak się mówi poprawnie? Jakie popelniamy błędy podstawowe? Wydaje mi się, że teleturniej mogłaby spełnić niezwykle pożyteczną rolę w tej dziedzinie. Stały, cykliczny teleturniej: „Język polski” widzę już oczyma duszy w programie. Tak bowiem mizerne zainteresowanie mową ojczystą, jakie obserwujemy dzisiaj — wymaga znacznego podsycecia.

Może utworzy się jakiś nowy klub hobbystów, który, zamiast zbierać naklejkę z zapalek, będzie czytał i analizował wiersze? Chciałbym, aby można Reja poprawić, parafrazując jego sławny wrot: „że Polacy nie gęsi i swój język z n a j a”. Niestety, nie można tego z czystym sumieniem powiedzieć nawet o spikerach i sprawozdawcach naszej ukochanej telewizji.

Tak więc teleturniejowi pt. „Polacy nie gęsi” wróć wielką przyśrołość. Zwalaszca, że chciałbym o tym przekonać teleturniej. O tym, że Polacy nie gęsi. I byle czego oglądać nie będą. Bo dokonano na nas haniebnego zamachu, racząc cocktailem marki „Supraphon” z Pragi czeskiej. Był to istny long-play, non stop — i co kto chce. Tyle tylko, że piosenkami okazały się tak bliźniaczo do siebie podobne, iż rozeznac się w tym nie sposób. Konferansjerka, pozabawiona dowcipu, pograżyła program zupełnie — zważywszy, iż poza piosenkami nie było niczego innego. A więc cocktail? Jak z tego dowcipu, w którym kelner, zamiast cocktailu, podaje czystą, bo w końcu i „tak się wszystko wymiesz”. Mam nadzieję, że od tej chwili nikt pyłt firmy „Supraphon” nie kupi. Chyba z potrzeby. Do usypiania dziatwy i dla zmylenia dziecienniały staruszków o niedobrych zamiarach. Treść bowiem piosenek z tychże płyt — uszlachetnia.

Wydaje mi się, że od czeskiej teleturniej, która ma nieco dłuższą tradycję niż nasza, można wymagać czegoś bardziej filozoficznego i przygotowanego, czegoś bardziej teleturijnego, niż zwykła transmisja z hall sportowej, gdzie przegrują trzy jazzbandy. Polacy nie gęsi, na jazzie się znają. I na piosenkach. Więc... czekają na coś lepszego od sąsiadów zza miedzy.

Cenną pozycję programu stanowił na pewno program publicystyczny z cyklu „Oblicze zbrodni”, prowadzony przez Jerzego Segla. Młode pokolenie — to, które dziś zasiada na ławkach szkół średnich — urodziło się już w latach powojennych i nie wie, co wojna i co faszyzm. Trzeba im powiedzieć, co znaczą te pojęcia. Segel tłumaczył to w oparciu o filmy dokumentalne i oryginalne dokumenty.

Bardziej w zamyśle niż w wykonaniu udany był natomiast program Karola Lubelczyka pt. „List do



Dwie krzywe wieże na placu w Bolonii. Większa (Torre Asinelli) wysoka 97,6 m; z wychyleniem 1,2 m od pionu. — Mniejsza (Torre Garisenda) ma 4,75 m wysokości, a odchylenie 2,4 m.

Fot. E. Węglowski

przyjaciela”. Tonację owego listu, czytane go przez autora, który w ten sposób łączył poszczególne sekwencje programu — trzeba określić jako zbyt rzewno-grafomańską, aby można to wytłumaczyć „nastrojem” zaduszkowym. Byli żołnierze z II wojny, którzy wspólnie walczyli z żołnierzami radzieckimi na froncie, mówili natomiast bardzo prosto, serdecznie i przekonująco. Program w tzw. Interwizji brała od nas Moskwa. Miejmy nadzieję, że odbiorca listu nie będzie się przejmował zbyt jego formą — koncentrując się raczej na treści.

Dwa znakomite przedstawienia data telewizja w poniedziałek i wtorek — rehabilitując się za nieudany spektakl trącej myszką i melodramatem „Nadziei” Hjermandsa, nadany kilkanaście dni wcześniej. W „Psie ogrodnika” Lope de Vegi mogliśmy podziwiać wielki kunszt aktorski Niny Andrycz oraz krakowianina Stanisława Zaczeka. Z Teatru Powszechnego transmitowano świetną inscenizację „Zmartwychwstania” wg Lwa Tołstoja.

Na brak teatru w telewizji w ostatnich tygodniach uskarżać się więc nie można — linia reperturowa jest trochę niezdecydowana, ale łączy w sobie cechy wprowadzania do teatru nieprzygotowanego widza, i zaspokojenia gustów nieco wybredniejszych.

Powróć mi wypadu na krakowskie podwórko, skąd nadano po raz... ba, co chyba piąty czy szósty — „Krakowskie Rozmaitości”. Mamy prawo zatem postawić teźe audycje wyższe wymagania i ostrzejsze kryteria.

„Głowy podawalskie” stały się gwóździem programu; inteligentnie prowadzonych przez Ryszarda Kosińskiego rozmów słucha się z prawdziwą przyjemnością. W ciągu kilku minut przedstawił on nam portret Jana Wiktora, zadziwiająco wierny. W kilku zdaniach, pytaniach, zarysach. Ładnie wykorzystano nagrodzony film Ryszarda Zawidowskiego — nakręcony właśnie w czasie poprzednich „Rozmaitości” za kulisami telewizji. Film został nagrodzony, autor udzielił wywiadu telewizji — odstępując na chwilę od kamery, jest bowiem równocześnie kamerzystą krakowskiej TV i „robił” tę właśnie audycję. Były udane debiuty, były miejsca słabsze, była kronika filmowa. Jeden zasadniczy zarzut: tematy zupełnie odwrane od najważniejszych wydarzeń ostatniego miesiąca w Krakowie. Można by je również dobrze nadąć za trzy miesiące...

TV Katowice już po raz trzeci obcina krótkocześnie metryczkę „Krakowskim Rozmaitościom”. Tak więc nie wiadomo, kto przygotował, kto rozmawiał — oraz wielu innych rzeczy. Mało! Nie dopuszczono do głosu spikerki krakowskiej, która nie tylko miała dać wypowiedź końcową ale i odczytać komunikat. Na pewno do dobrych manier takiego postępowania (permanentne) zaliczyć nią można...

Bądźmy jednak sprawiedliwi — Katowice często dają kapitalne pozycje — jak „Kalendarz filmowy”, czy „Związki Śląska z resztą ziem polskich” — którą to audycję prowadził nestor polskich archeologów, znawca problemów polsko-niemieckich, profesor dr Józef Kostrzewski z Poznania. Z ciekawieniem należy więc oczekiwać dalszych pogadarek sędziwego profesora.

NOCH

festacyjna architektury, którą powołano do sprokowania wydatków, na które nie może jeszcze zdobyć się system gospodarczy kraju. — Stąd bierze się śmiałość koncepcji, która w zamierzeniu swym pragnie wskazać kierunki potrzeb gospodarczych.

Aby zrozumieć napięcie, z jakiego wyszła koncepcja architektoniczna Brasillii i jej forma — trzeba sięgnąć poza bezpośredni zakres spraw architektonicznych. Brazylia jest bowiem krajem wielkiego kontrastu. 96 procent ludności tego kraju skupiło się w wąskim, przeludnionym i wulkany w sprzeczności nie do rozwiązania pasku wybrzeży atlantyckich. Poza tym pasem leży ogrom nie zaludnionych, nie zagospodarowanych, a często wręcz nie odkrytych jeszcze obszarów, zwanych „interiorem”. Te sprzeczności — od zarania swej niepodległości, a zdecydowanie od roku 1823 Brazylizy — próbują bezskutecznie przełamać. Bezskutecznie próbują oni skierować energię swego społeczeństwa na eksploatację i zagospodarowanie wnętrza kraju. Choć kryje ono nieprzebrane bogactwa, wszelkie dotychczasowe wysiłki były bezskuteczne. Dopiero w 1958 roku rząd ówczesnego prezydenta Kubickiego podjął decyzję śmiałego przewrotu. Zdecydowano przenieść centrum władz pań-

stwowych w głąb kraju. W przedsięwzięcie to, przerażające znacznie praktyczne możliwości gospodarce rządu brazylijskiego, zaangażowano architekturę. Powierzono jej zadania manifestacyjne. Agitacyjne.

Utylitarizm współczesnych poglądów architektonicznych atakuje formę Brasillii za jej rozrzućność. Za tę fasadowość, która każe wzniesieć pomnik architektoniczny, nie rozwiązując istotnych zagadnień użytkowych miasta. Architekci brazylijscy uważają fasadowość za uzasadnioną. Za konieczną i rzetelną odpowiedź na istniejące sprzeczności, na brak sił dla rozwiązania całości sprawy we wszystkich szczegółach. Są oni zdania, że architektura może wypełnić swe zadanie społeczne nawet wtedy, gdy nie ma sił na to, by rozwiązać całość problemów użytkowych. I ten pogląd śmiało stawiają pod dyskusję. Nie ulega wątpliwości, że jest to konkretny epizod i przykład w ogromnym sporze o oblicze architektury nowoczesnej. Nie ulega też wątpliwości, że przekonywająco brzmi teza o możliwości agitacyjnego zaangażowania architektury tam, gdzie nie może ona rozwinąć całej pełni swego warsztatu.

Brazylizy nie kryją tego, że w mieście Brasillii nie rozwiązali kwestii mieszkaniowej. Nie kryją

tego, że ich przedsięwzięcie nie przynosi rozwiązania podstawowych funkcji społecznych. Uważają jednak, że architektura centrum Brasillii dobrze wypełnia zadanie drogowskazu. Ze monumentalność tego centrum nie tylko manifestuje śmiałość i siłę decyzji o budowie stolicy — lecz obnaża zarazem istotne słabości systemu gospodarczego i warsztatu. Budzi więc uwagę wokół potrzeby stworzenia miasta integralnego.

Głęboko powstał w Europie wtedy, gdy kontrreformacja katolicka pretendowała do panowania nad światem, choć pretensje te przetrwały faktycznie sily gospodarce i polityczne wojującego katolicyzmu. Architektura zaprzęgnięta została wówczas do manifestacji bogactwa i potęgi. Plastyka architektury barokowej ograniczała się w budowlach tylko do tych części, które były widoczne dla tłumu. (vide kościół św. Piotra na Grodzkiej, pozabawiony po bokach nawet tynku). Czy metoda taka jest do przyjęcia współcześnie? Czy miasto Brasillii naprawdę rozrosło się w koło nowego centrum, jak spodziewają się jego twórcy? Czy będzie to miasto godne pomnika, który jego budowę zapoczątkował? Te wszystkie pytania prowokuje wypowiedź artystyczna O. Niemayera i L. Costy.

Jan Adamczewski

Chaplin miał rację!

Wiele lat temu było bardzo głośno o tak zwanej metodzie Kowalewa. Mówiono i pisano o niej dużo — ale potem cała ta sprawa ucichła i już do niej nie wrócono. A szkoda.

O co w niej mianowicie chodziło? Przede wszystkim — o zwiększenie wydajności przez sprawniejszą organizację miejsca pracy. Na podstawie doświadczeń i obserwacji pracy wielu przodowników — wynaleziono bowiem metodę, będącą sumą najlepszych ruchów, wykonywanych przez poszczególnych robotników podczas pracy.

Metoda Kowalewa nie zdała jednak egzaminu życiowego. Przede wszystkim dlatego, że zapomniano, iż każdy człowiek jest indywidualnością — a więc ruchy, wykonywane podczas pracy, są w zasadzie w każdego nieco odmienne. Zapomniano też o tak zwanej granicy fizjologicznej i psychologicznej. Jednak — szkoda samej metody, gdyż można było ją udoskonalić i wtedy wróciłaby ona uwagę na dziedzinie ciężkiej i naszpikowanej — na naukową organizację miejsca pracy.

Niedobra tradycja

W większości naszych fabryk organizacją miejsca pracy jest często wynikiem tradycji, rozwija się sama w ciągu lat. Robotnik tylko intuicyjnie wiele spraw reguluje i usprawnia.

Tymczasem istnieje od lat nauka, która zajmuje się tym i stawia sobie za cel takie zorganizowanie miejsca pracy, które by zmniejszenie robotnika sprowadziło do koniecznego tylko minimum — przy równoczesnym podnoszeniu jego wydajności. Opracowano już wiele metod, których zastosowanie daje bardzo ciekawe rezultaty. Na przykład ważnym elementem, przyczyniającym się do zmniejszenia zmęczenia, jest zmiana pozycji ciała podczas wykonywanej pracy.

Jeżeli założymy, że pracownik w pozycji leżącej zużywa 100 proc. energii, to w pozycji siedzącej — już o 4 proc. więcej, w pozycji stojącej — o 12 proc. a w pozycji pochylonej (np. przy rzeźbieniu sierpem zboża) — aż o 55 proc. więcej. Prosty stąd wniosek: sama tylko zmiana pozycji podczas pracy ze stojącej na siedzącą daje 8 proc. oszczędności energii. Również wiele energii można

by zaoszczędzić, gdyby w naszych zakładach zmagazynowane towary umieszczano nie na podłodze, lecz na takiej wysokości, by człowiek nie musiał się schylać.

Następną sprawą — już bardzo zbliżoną do opisanej — jest sprowadzanie ruchów, wykonywanych w czasie pracy, do możliwie najbardziej ekonomicznych i najmniej męczących. Naukowcy wyliczyli 5 klas ruchów: palców; palców i przegubów; palców, przegubów i przedramienia; palców, przegubów i skrzydeł całego ciała. Oczywiście, najbardziej ekonomiczne są ruchy w pierwszych klasach oraz te, przy pomocy których ręka przebywa najkrótszą drogę. Jednak przy ich opracowywaniu korzystać trzeba z pomocy fizjologa i psychologa.

Ważnym zagadnieniem jest wykorzystanie podczas pracy obu rąk. Na przykład montaż drobnych części w wielu wypadkach wygląda w ten sposób, że przedmiot montowany robotnik trzyma w lewej ręce, a prawą wykonuje ruchy związane z tą czynnością. Ponieważ w tym wypadku lewa ręka spełnia funkcję małego imadła — na jej miejsce można by zainstalować prosty uchwyt. Ta drobna zmiana pozwoli na wykonanie lewą ręką wielu dodatkowych operacji, które dają zwiększenie o około 50 proc. wydajności (bez zwiększenia wysiłku).

Podobnie należałoby zmechanizować odkładanie już zmontowanych przedmiotów, by nie transportować ich przy pomocy rąk; mogły to być rynnny pochylne czy transportery. Także w wielu wypadkach warto wykorzystywać nogi do wykonywania innych czynności (np. wyważania maszyny) — odciążając przez to ręce.

Zajęcie się tymi sprawami może dać bardzo znaczne efekty ekonomiczne — przy czym często nie wymagają one prawie żadnych wkładów finansowych; czasami wystarczy tylko ułożenie we właściwej kolejności narzędzi czy też surowców.

Technolog i psycholog

Nim organizator pracy zajmie się szczegółami — warto zastanowić się nad badaniami o charakterze ogólnym. Przecież w Polsce nie ma w zasadzie opracowanych projektów typowych organizacji standardowego miejsca pracy. Mogłyby to robić Zjednoczenia. Jednak przy opracowywaniu takiego typowego stanowiska należy uwzględnić wszystkie wskazania nie tylko organizatorów czy techników, ale także fizjologów i psychologów pracy. Bowiem zdarza się często, że jakieś czynności, czy ruchy z punktu widzenia technika organizacji są zbędne — jednak z punktu widzenia psychofizjologa mogą okazać się konieczne dla zdrowia robotnika, jako dające odprężenie i odpoczynek mięśniom.

Trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że daleko idąca organizacja miejsca pracy stanowi nieodzowny warunek dalszej mechanizacji, doprowadzającej w konsekwencji do

automatyzacji poszczególnych operacji. Gdy bowiem w fabryce dojdzie do tego, że robotnik na swoim stanowisku roboczym będzie wykonywał już tylko bardzo uproszczone i nieskomplikowane ruchy — nie stoi na przeszkodzie by na jego miejsce wprowadzić automat. Stąd też rozwój organizacji pracy i techniki: rozwój techniki dochodzi do pewnego punktu i dalej nie może się posunąć, jeśli za nim nie idzie organizacja pracy. I na odwrót: organizacja pracy niewiele zdziała, jeśli jej nie przyjdzie w sukurs technika.

Pierwszy na świecie zorganizował prawidłowo stanowisko pracy inż. Peronne w XVIII wieku. Pracował on w Genewie, w fabryce szpilek, w której każdy robotnik wykonywał sam wszystkie operacje. Inż. Peronne podzielił cykl na 18 poszczególnych operacji i przydzielił do ich wykonania 12 robotników. Fabryka w ciągu jednego dnia wyprodukowała 240 razy więcej szpilek. Zasadę technicznego podziału pracy sformułował i w swoich pracach przedstawił znany angielski ekonomista Smith — ale ani on, ani też jego następcy nie dostrzegali tego, że samej zasady nie można przeprowadzać w nieskończoność. Działają tu granice ekonomiczne i psychofizyczne.

Na czym polega granica ekonomiczna? Operacja pewnego detalu trwa 3/100 minuty, natomiast sam transport tego detalu z jednego stanowiska na drugie zajmuje minutę. Nie oplaca się więc skraćć jeszcze bardziej czasu obróbki, natomiast warto tę pracę łączyć: zamiast obrabiać jeden detal, lepiej zbudować zasobnik na 50 detali. Automat wykona operację przy tych wszystkich sztukach też w 3/100 minuty, a długi — bo trwający minutę — transport odciąży od razu 50 sztuk. A więc zasada łączyć

(Dokończenie na str. 5)

NOZYCAMI
Przepraszam

PIESKA NIEBIESKA

WARSZAWA. Kurier Polski o przemyśle zabawkarskim: „Producent potrzebuje pluszu w różnych kolorach i gatunkach — każdego po trochu. Ale w hurtowni nie ma. A fabryka, do której nasz spółdzielca specjalnymi „chodami” dociera, ma na składzie tylko plusz w kolorze niebieskim. Spółdzielnia robi więc wyłącznie niebieskie misie, niebieskie stonie, niebieskie konie i psy”.

NOC JAK CO DZIEK

KIELCE. Słowo Ludu podaje: „Nocny stróż jednej z kieleckich fabryk ma zwyczaj spisywać raport ze swojego dyżuru. Jeden z tych raportów brzmiał: „pracuje tam dziewczyna jako podręczna, przychodzi różni mężczyźni i nagabują, a romanują, to powinien być chłopiec. W czasie mojego dyżuru nic sprycjalnego nie zaszło”.

ROZWOJ PIŚMIENICTWA

WARSZAWA. Co robi kierownik referatu kultury — zastanawia się Dziennik Ludowy. Oto pisze sprawozdanie. Najpierw miesięczne: finansowe z wykonania planu techniczno-ekonomicznego przedsiębiorstwa, z wykonania planu zatrudnienia, z planu zatrudnienia i funduszu plac. Później sprawozdania kwartalne: bilans, inwestycje, remonty, rachunek strat i zysku, wykonanie planu sprzedaży, bilans obrotów i sald, dochody, wydatki, środki pozabudżetowe... Razem pozycji — dziewiętnaście.

Pocztą od Czytelników

Dzieci „na marginesie”

Zdawałoby się mała, nienamerna sprawa, którą poważnie pismo nie musi się zajmować. Chodzi mi mianowicie o przedziwne zwyczaje, jakie zapanowały w nowo odrestaurowanym Parku Krakowskim — parku, który przez okolicznych mieszkańców nazwany został Parkiem Zakochanych i Emerytów. Tak, mają prawo przychodzić do niego tylko ci pierwsi — i ci drudzy. Dzieci niedługo zostaną stąd wyeksmitowane; bo rodziców nie będzie stać na srogie mandaty! A wiecie za co te mandaty? Na przykład za jazdę na małym, czterokołowym rowerku „pan plantowy” grozi karą 200 zł.

Pomyślano o łabędziach, kwiatkach, fontannie i kolorowych laweczkach. Wszystko to piękne! Czy nie można było jednak wykreślić kawałek parku z przeznaczeniem dla dzieci i urządzić tam kącik zabaw (kilka huśtawek, mała plaskownica, zjeżdżalnia i przynajmniej jedna alejka, po której dzieci mogłyby jeździć na hulajnogach i rowerkach). Niestety, „nic z tych rzeczy”. Nasze dzieci muszą być w Parku Krakowskim dobrze wychowane. Nie wolno im hałasować, skakać, biegać, huścić się. Te wszystkie „luksusy” dozwolone są tylko w Parku Jordana, dokąd trudno prowadzić jest co dzień swe pociechy. Wiele z moich znajomych dzieci z ul. Szymanowskiego woli — zamiast iść do Parku Krakowskiego — siedzieć przy telewizorach, lub bawić się na brudnych i ciasných podwórkach.

Prawem dzieciństwa i warunkiem dobrego rozwoju fizycznego jest swoboda, ruch i świeże powietrze. Wielki wychowawca, miłośnik i lekarz dzieci dr Janusz Korczak dopominał się, by co trzeci sklep, co trzecie kino, co trzeci teatr były przeznaczone dla dzieci, gdyż stano-

wią one ok. 1/3 całości narodu. A tymczasem w Krakowie jest tylko jeden „Dom Dziecka”, w którym rzadko i niewiele można kupić. Tylko raz w tygodniu w niektórych kinach wyświetla się filmy dla dzieci, na które z reguły trudno dostać bilety. Tylko jeden teatr — marginesowo — wystawia sztuki dla dzieci. Nie słyszałam o wieczorze autorskim dla dzieci, o zgrupowaniu dla młodszych dzieci, czy też o takich przyjemnościach, jak np. tor saneczkowy, który można by z powodzeniem urządzić — chociażby w Parku Krakowskim. Natomiast dużo pisze się o tym, jakie to nasze dzieci są hałaśliwe i jak przeskadzają dorosłym.

lek. med. ZOFIA GOSCIŃSKA
specjalista chorób dzieci

Instytucje wyjaśniają

W rubryce „Pocztą od Czytelników” zamieściliśmy list Czytelnika, protestujący przeciwko zatruciu gołębi przez rozsypanie trutki na polach w PGR Raciborowice. W odpowiedzi na list otrzymaliśmy wyjaśnienie kierownictwa zaatakowanej instytucji, w którym czytamy m. in.:

W związku z listem pt. „Bezkarne trucielstwo”, dotyczącym zatrucia gołębi na naszych polach, wyjaśniamy: siew mieszanek na zielonki nastąpił w dniach 16, 21 i 23 VII. Ziarno zaprawiono fungitoxem 16 VII 1962 r. Gołębie nie mogły się zatruci ziarnem sianym na naszych polach w dn. 25 VII br., ponieważ siew był wcześniejszy tym samym zaprawionym ziarnem, a zatem zatrucie nastąpiłoby wcześniej. Nadmieniamy, że na tutejszym terenie zdychają gołębie — i według opinii rzeczoznawców zatrucie następuje z powodu podawania gołębiom chleba rozmozonego...

Jonusz Ratajczak

Barok strunobetonowy

W katalogu tej wystawy popelniono błąd, który wypacza intencję jej autorów i zaciemnia myśl przewodnią. Nie jest to bowiem retrospektywna wystawa architektury brazylijskiej. To jest wystawa problemowa, koncentrująca uwagę widza na formie architektonicznej miasta Brasilia. Dyskusyjnym problemem przewodnim jest wybudowanie, bogata forma architektoniczna centrum tego miasta, które dwa lata temu wyrosło w głąb bezludnego „Interioru”. Portugalski tytuł oryginalny wystawy brzmi: Barocco-Brasilia.

Wybudowanie, rozrzucone piękna architektura budynków rządowych, które rzucano w głąb bezludnego płaskowzgórza o powierzchni równej kilku większym krajom europejskim — stwarza problemy tak głębokie, że jak soczewka skupiają one wszelkie warstwy nowoczesności i tradycji tego kraju. Toteż zdjecia z miasta Brasilia wymagały komentarza towarzyszącego. Stanowią go dwie boczne serie wystaw. Pierwszą z nich obejmują zabytki i rezeawy staruch miaste-

czek brazylijskich. Ukazuje w skrócie przepiękny, malowniczy i prowincjonalny barok Brazylii XVIII i XIX wieku. Druga — ukazuje próby, niejako kolejne etapy rozwojowe architektury nowoczesnej, rozproszone w starych miastach brazylijskich. Leczą te dwie grupy akcentują jedynie i komentują rzecz na wystawie główną — centrum miasta Brasilia. — Ten reuelacyjny, śmiały i zaskakujący problemami pomnik architektoniczny.

Są to jednak refleksje, na które pozwala dopiero głębsze, drucie niejako spojrzenie na wystawę. Dopiero takie spojrzenie pozwala wyjść poza powierzchowny zachwyty dla piękna poszczególnych budowli. Wtedy dopiero można wnikać w treść zdjęć lotniczych, ukazujących stan nowego miasta w chwili obecnej.

Otóż — wspaniała forma architektoniczna centrum nowej stolicy zawisła w próżni. Miasto Brasilia — to na razie sieć ulic i arterii oraz zespół gmachów rządowych. Gdzieś na uboczu wybudowano do-

pierno jeden kwartał domów mieszkalnych dla kilku tysięcy ludzi i w innym miejscu — kilka bloków ministerstw. I to wszystko. Nie ma więc jeszcze miasta w pełnym słowa znaczeniu. Nie ma dzielnic mieszkalnych i sklepów. Nie ma ruchu ulicznego, prócz korowodów turystów i samochodów przedsiębiorstw budowlanych. Wspaniała forma — ów niebywale piękny pomnik ręki Oskara Niemajera, jeśli określić go utartym mianem miasta — okazuje się czymś fasadowym. Śmiałym, desperackim, sugestywnym. Przykuwającym uwagę i tworzącym w Brasili ośrodek zainteresowania opinii światowej — lecz jedynie hasłem, a nie żywym organizmem miejskim. A więc miasto Brasilia istnieje — i równocześnie nie ma tego miasta. Na tym polega wielki sukces architektury Niemajera i jej dramatyczna treść. Na tym polega jej barokowość.

Nie od razu Kraków zbudowano — nasuwa się w tym miejscu. Otóż sęk w tym, że Brasilię zbudowano od razu. Zbudowano ją fasadowo, na wyrost, z rozmachem. Wszystko literalnie, na co stać było w sztata twórcy architektury brazylijskiej, zaangażowano w to przedsięwzięcie. Dzięki temu, choć pod nazwą Brasilia nie kryje się jeszcze miasto z krwi i kości, choć w bezludnym interiorze istnieje tylko na

skale Montezumy zakrojony pomnik architektury nowoczesnej — uwaga nie tylko całego kraju, lecz całego kulturalnego świata skupia się na tym miejscu.

Nie ma nic przypadkowego w bogactwie i śmiałości form centrum Brasili. Kompozycja tego centrum świadomie odbiega od chłodnej, oszczędnej i precyzyjnej kalkulacji powszechnie spotykanej nowoczesnej formy architektonicznej. Jest to rozrzutność zamierzona. Kontrast między wykintną architekturą centrum przyszłego miasta i pustką setek tysięcy kilometrów kwadratowych otaczającego je bezludzia tworzy dramatyczną całość kompozycji.

Blizsze spojrzenie na kwartał domów mieszkalnych w Brasili nasuwa następne spostrzeżenia. Uwytknęła się tu inny kontrast: pomiędzy hojnością form w kompozycji centrum miasta i jego arterii komunikacyjnych — a stłoczona, zwartą niemal do granicy spekulacyjnego absurdu zabudowa kwartału mieszkalnego. I ta rozbieżność jest prawidłowa dla sytuacji, która kształtuje współczesny warsztat architekta w Brasili.

Miasto Brasilia powstaje inną kolejną rzeczą niż ta, jaką znamy z własnej praktyki. U nas żmudnie, choć równocześnie niebywale szybko pustynia gruzów Warszawy za-

ludniała się ruchem miejskim. Warszawa stała się miastem milionowym, choć wciąż jeszcze czeka na swe reprezentacyjne i monumentalne śródmieście. Nasze budownictwo miasta oparło się o zasadę praktycznego rozwiązywania podstawowych funkcji mieszkalnych i gospodarczych stolicy. Do kompozycji monumentalnego centrum przystępujemy dopiero dziś, w jednym z końcowych etapów budowy nowej Warszawy.

Architekci brazylijscy działają inną drogą. Ich kraj niesłychanym wysiłkiem, po stu czterdziestu latach nieudanych prób, zdobył się obecnie na decyzyję o budowie nowej stolicy. I wszystko, na co praktycznie zdobyć się mogła gospodarka brazylijska — a więc praktyczny warsztat architektury — to było przedsięwzięcie, które monumentalnym pomnikiem utrwala tę decyzję. Taka jest geniza formy plastycznej Brasili w ogromnym skrócie. Na budowę całego miasta zabrakło sił. Budowa takiego miasta może stać się jedynie przyszłym następstwem uformowania tu ośrodka administracji państwa.

Brazylijczycy doszli w swej praktyce do wiedzy o tym, że nie koncepcja plastyczna, lecz określony program gospodarczy tworzy w praktyce miasta. Stąd bierze się osobliwa funkcja agitacyjna, mani-



Tajemnicze szczeliny przy szosie Kraków — Przemysł. Wydobywający się gazy ziemny został zapalony przez członków komisji specjalistów.

CAF — fot. Kwiatkowski